



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



DLA CZEGO NA GÓRACH ZIMNO?

SKREŚLIŁ

Stanisław Kramsztyk.

I.

— Dla czego na górach zimno? — zapytał mnie Kazio. — Jakżeż to dźiać się może, że szczyty ich wiecznie śniegiem są pokryte, chociaż w około nich, na powierzchni ziemi w nizinach, panują upały letnie a promienie słoneczne nie ledwie nas parzą? A przecież gdy się na wierzchołek góry wdrzemy, będziemy bliżej słońca, powinnyby tam być cieplej zatem?

Ponieważ pytanie to łatwo każdemu nasunąć się może, powtórzę tu, com Kaziowi odpowiedział; najpierw jednak zastanówmy się, czy w pytaniu jego nie tkwiła pewna niedorzeczność.

Istotnie bowiem, czyż możemy rozumować, że na szczycie góry jesteśmy bliżej słońca? Odległość słońca od ziemi wynosi 20 milionów mil geograficznych, najwyższe zaś góry wznoszą się na milę zaledwie, cóż więc ta drobnostka w obec tak olbrzymiej odległości znaczyć może? Gdybym się z towarzyszem wybrał na letnią wędrowkę do Ojcowa i wyprzedził go o stopę jedną, czyż mógłbym się chwalić, że jestem już bliżej celu podróży? Czy więc znajdujemy się w dolinie, czy na szczycie najwyższej chociażby góry, jest to względem odległości słońca różnica tak mała, że należy ją uważać za żadną.

Na wyjaśnienie to zgodził się Kazio, ale twierdził dalej, tym razem już słuszniej, że na szczycie góry powinnyby być przynajmniej tak samo ciepło, jak na powierzchni ziemi. Czyż promienie słoneczne — mówił — są na górze zimniejsze, aniżeli w dolinach?

Zagadka ta dawno już w samej rzeczy ludziom się nastreczała, ale uczeni długo rozwiązać jej nie umieli; aby zaś sobie wytłomaczyć dla czego w górze jest zimniej, utrzymywali, że promienie słoneczne są same przez się zimne i zdają się ciepłymi jedynie przez zetknięcie z ziemią. Sądziли oni, że słońce nasze, owa wspaniała, gorejąca gwiazda dzienna, posiada wewnątrz czyli jądro ciemne i czarne, otoczone tylko powłoką jasną, która świeci wprawdzie, ale wcale nie grzeje i nadsyła nam promienie zimne, które dopiero gdy do ziemi dobiegną, wydobywają z niej ciepło.

Dziś jednak wiemy, że słońce jest bryłą rozpaloną, ognistą; że panuje na niej żar niesłychany, bez porównania silniejszy, aniżeli w najpotężniejszych naszych ogniskach—a promienie słoneczne nie tylko nam świecą, ale i grzeją zarazem. Dla czegóż więc pokonać nie mogą srogiej, bezustannej na górach zimy?

Na pytanie to, naprawdę, mógłbym odpowiedzieć bar-

dzo krótko i przeciąć je jednym wyrazem, przytoczywszy po prostu, że powietrze jest *przecieplające*. Ale znów nie każdy rozumie co wyraz ten znaczy, może i nie każdy go nawet słyszał; bardzo to zaś brzydka wada, gdy kto lubi używać wyrazów których znaczenia dobrze nie rozumie — wolę więc rzecz tę bliżej wyjaśnić.

Do pokoju naszego wdzierają się promienie światła przez okna, ale ściany ich nie dopuszczają; mówimy że szkło jest ciałem przezroczystem, drzewo zaś, kamienie, są to ciała nieprzezroczyste. Otóż tak samo i promienie ciepła przez jedne ciała przechodzą, a przez inne przedostać się nie mogą; tak samo więc jak dla światła, są też ciała przezroczyste i nieprzezroczyste dla ciepła, albo jak możemy mówić krócej, są ciała *przecieplające* i *nieprzecieplające*.

Ogień wysyła promienie jasne, świecące; ale gdy po-trzymamy rękę naprzeciwko pieca zamkniętego, żelaznego lub kaflanego, również doznamy uczucia ciepła. Ciała prze-to ogrzane, ale nie świecące, wysyłają promienie ciepła ciemne. Jeżeli ogrzewamy ciało jakiegokolwiek, pręt naprzykład że-lazny, to wysyła ono z początku tylko promienie ciemne; przy silniejszym dopiero ogrzaniu zaczyna i świecić — do promieni ciemnych przybývają jasne. Płomień zatem i ciała roz-żarzone, wysyłają promienie ciemne i jasne. Nie należy jed-nak sądzić, że to inne promienie nam świecą, a inne nas grzeją; ciepłe promienie i światło stanowią jedno i toż samo — ten zatem promień, który w nas wzbudza uczucie ciepła, spro-wadza wrażenie światła gdy pada na nasze oko. Ale oko nie na wszystkie promienie jest czułe; są promienie, które na nie wcale nie działają, są to więc, jak powiedzieliśmy, pro-mienie ciemne. Szkło jest przezroczyste, przepuszcza więc promienie jasne, a wraz z nimi i ich ciepło; ale dla promieni ciemnych jest szkło zupełnie nieprzezroczyste, jest dla nich zgoła nieprzecieplające. Okna zatem w naszych pokojach nie powstrzymują zupełnie ciepła słonecznego, bo dopuszczają promienie jasne, a z nimi ich ciepło; piec wszakże wysy-ła tylko promienie ciemne, które już przez szkło przedrzeć się nie mogą — okna zatem chronią pokój ogrzany od sty-gnięcia.

Powietrze jest ciałem bardzo przecieplającym, przepu-szcza zatem łatwo promienie słoneczne, prawie wcale ich nie zatrzymując. Jeżeli zaś promienie ciepła przechodzą przez ciało które ich nie pochłania, to ciało to wcale się nie roz-grzewa. Jest to tak samo, jak gdybyśmy wodę przelewali przez sito — zatrzymać jej nie zdołamy, bo przedostaje się wciąż przez otworki; ale zanurzymy gąbkę w wodę, a natychmiast zmoczy się, zwilgotnieje, zapelni się wodą, bo ją pochłania i zatrzymuje między swemi włókienkami. Powietrze wzglę-dem ciepła zachowuje się jakby owo sito, skoro więc promie-nie tak łatwo je przenikają, pozostaje ono zupełnie zimne na-wet podczas najsilniejszego upału. Przy samej tylko po-wierzchni ziemi, gdzie my przebywamy, powietrze ogrzać się może, ale to nie bezpośrednio od promieni słońca — dzieje się to wskutek zetknięcia z ziemią. Wierzchnie bowiem po-kłady ziemi pochłaniają promienie ciepła słonecznego i ogrze-wają się, a stykając się z dolnemi warstwami powietrza, cie-pła im swego udzielają. Ogrzane te warstwy powietrza roz-szerzają się, stają się rzadszemi i lżejszemi, wznoszą się więc wyżej, a natomiast zimniejsze i cięższe warstwy powietrza opadają. Wskutek tych prądów następuje wymiana powie-trza cieplejszego i zimniejszego — i dla tego w ciągu dnia atmo-

sfera się ogrzewa, ale zachodzi to tylko do pewnej nad zie-mią wysokości. W górze powietrze pozostaje zawsze lodowa-te, mroźne, a żeglarze powietrzni, którzy się balonami wysoko wzbijają, nawet przy najsilniejszym upale letnim zabierają muszają ze sobą futra.

(d. n.)

Prząśniczka automatyczna.

Czytelnicy Wieczorów słyszeli zapewne nieraz o cie-kawych automatach, czyli sztucznych ludziach, którzy, za po-mocą ukrytego wewnątrz mechanizmu, wykonywają rozmaite czynności.

Niektóre z takich automatów, do złudzenia naśladowują ruchy, jakie biegły mechanik — twórca ich, każe im czynić. Budowa automatów dawnemi czasy przedstawiała wielkie trudności, dla tego też zabawki te były nadzwyczaj drogie: dziś jednak są one wyrabiane sposobem fabrycznym, w dużej liczbie egzemplarzy, i staniały znacznie. Naturalnie zawsze trzeba obmyśleć maszyneryę, odpowiadającą celowi i to sta-nowi najważniejszą część dzieła; podjąc się zaś tego może ten tylko, kto wrodzoną posiada zdolność do złożonej mecha-nicznej konstrukcyi.

Na rysunku widzimy właśnie jeden z takich automatów. Jestto prądka; siedzi ona sobie na krzeselku, przed koło-wrotkiem, i po nakręceniu sprężyny, niezwłocznie poczyną go obracać nóżką, przyczem wykonywa jaknajściślej wszystkie ruchy, składające czynność przedzenia nici, i to z niezwykłą gracją.

Twarz jej zrobiona jest z wosku tak doskonale, iż pa-trząc na nią z odległości kilku kroków, możnaby w zupełno-sci uleść złudzeniu i wziąć automat za żyjącą osobę.

Nie potrzebujemy chyba dodawać, iż wewnątrz prądki kryje się mechanizm, wprawiający w ruch jej ręce i ciało.

BALONEM DO BIEGUNA.

PRZEZ

WŁ. JUMIŃSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Wkrótce, ku wielkiemu swemu zdziwieniu, sternik spo-strzegł w pobliżu zenitu parę różowych chmurk; noc widocznie ustępowała przed jakimś potężnym światłem. James gubił się w domysłach nad przyczyną tego niepospolitego zjawiska; przypuszczał, że we wschodniej stronie, gdzieś da-leko, znajduje się wybuchający wulkan lecz odbłask na ho-ryzoncie nie przypominał wcale ani łuny, ani zorzy bieguno-wej; w przestrzeni panował szary zmrok, zupełnie podobny do przedświt. Zegarek wskazywał kwadrans na dwunastą, do wschodu słońca brakowało czterech godzin z górą.

Cóż więc miało znaczyć to światło?

Na podobne pytanie James w żaden sposób nie mógł znaleźć odpowiedzi; to też z cierpliwością oczekiwał, aż za-gadka sama się rozwiąże.

Tymczasem stawało się coraz widniej; drobne chmurki rozżarzały się w zetknięciu z tajemniczą zorzą; ocean zrzu-cił oponę grubej mgły, pod którą skrył się niedawno; wielkie jej szmaty tułają się, jak duchy, ponad jego bładą powierzchnią, kapryśnie odbijającą zaplonione niebo.

Nagle z najsilniej gorejącego punktu strzeliły w górę ku zenitowi, niby race olbrzymie, liczne promienie olśniewa-jącego światła i równocześnie z pod wklęsłego zwierciadła oceanu wynurzyła się powoli tarcza słoneczna, ścieląc na fa-lach szeroki gościniec ognisty.

Pocziwy sternik, podczas swych długich podróży podbiegunowych, był świadkiem wielu niezwykłych zjawisk, żadne jednak nie uczyniło na nim takiego wrażenia, jak ten niespodziewany wschód słońca o północy.

Stał chwilę, jakby zahyponotyzowany tą kulą ognistą, która przykuwała jego wzrok, potem machinalnie sięgnął po zegarek.

— Za dziewięć minut północ — północ...

I powtarzając „północ”, pochwyił za ramiona śpiącego głęboko Gromskiego i wstrząsnął nim potężnie.

Przebudzony w ten sposób, inżynier zerwał się na równe nogi.

— Co to, już rano? — zagadnął przecierając oczy; — która godzina?

— Północ, proszę pana.

— Co ty bajesz?

— Sama północ, niech pan patrzy: tylko co weszło słońce; tu inny świat jakiś... do góry nogami wszystko przewrócone.

Prostoduszny sternik, mówiąc to, miał tak zabawną minę, iż Gromski wybuchnął głośnym śmiechem.

— Pewnie zasnął, mój stary, a nie nakręciłeś zegarka; no, przyznaj się!

Marynarz zachnął się, oburzony.

— Co, ja zasnąłem, ja? Et, lepiej niech pan sam zobaczy, która godzina.

— No, która? — zagadnął Ford, który właśnie wyszedł z sypialni.

— Rzeczywiście, północ, — bełkotał Gromski pomieszany; — a u ciebie, kapitanie?

-- Także północ za pięć minut, co to ma znaczyć?

I wszyscy trzej spoglądali po sobie, zdumieni tą zgodnością.

— Wschód słońca o północy! to ciekawe, — zawołał Gromski, uśmiechając się; — cóż to, ziemia prędzej niż zwykle obróciła się koło swej osi, czy co u kaduka?

Kapitan wzruszył ramionami.

— Zdumiewające zjawisko astronomiczne, inżynierze, — odparł. — Słońce zaszło o 9-tej; nieprawdaż?

— Właściwie o 9-tej minut 15, gdyż ze wzniesionego o 4 kilometry balonu dłużej było widzialnem, niż z powierzchni oceanu.

— Noc więc trwała trzy godziny, zamiast siedmiu. Pędzimy widocznie na wschód, naprzeciw słońca, i w ten sposób zyskaliśmy cztery godziny czasu, co odpowiada zmianie położenia o 60 stopni.

Biorąc pod uwagę, że równoleżniki maleją ku biegunom; to wypadnie na stopień około siedmiu mil geograficznych. Siedm razy po sześćdziesiąt = 420; hm, leczmy zatem z szybkością o połowę tylko mniejszą, niż kula armatnia. Doskonale!

Ten żart Forda dał jednak wiele do myślenia Gromskiemu.

— A gdyby rzeczywiście stało się coś podobnego? — zagadnął po chwili milczenia.

— Ha, w takim razie nigdy nie dotrzemy do bieguna, kochany inżynierze.

— Tak, ale my nie posuwamy się na wschód...

— Jakże więc objaśnisz pan tę krótkotrwałość nocy?

— Bardzo prosto: balon przeszedł przez koło biegunowe i znajduje się w okolicach, gdzie panuje obecnie ciągły dzień; mamy dziś 29 grudnia, a 21-go pod $66\frac{2}{3}$ stopniem szerokości słońce przestaje zachodzić; w południe wzniesionem jest ono, jak panu wiadomo, na 47 stopni, o północy zaś znajduje się na horyzoncie; wyruszyliśmy o 8-mej rano; jeżeli się nie mylę, do chwili spotkania z parowcem przebyliśmy najwyżej 180 kilometrów; o 6-tej natrafiłszy na ciepły prąd, wypada więc, że w przeciagu ćwierć doby balon przeleciał dziewięć stopni. Licząc na stopień południka 15 mil geograficznych, wypadnie, że robiliśmy po 150 kilometrów na godzinę...

— Ależ to szalona szybkość! — wykrzyknął Ford. — Balon „La Ville d'Orlean” robił po 208,6 mk na godzinę.

— Obserwowano podobną podczas obłężenia Paryża Aeronauta Rolier wsiadłszy dnia 24 listopada o godzinie 11-ej m. 40 wieczór spadł nad ranem w Norwegii; przez 14 godzin leciał więc ze średnią szybkością 112 kilometrów. Zeglarz ten również zaobserwował w wysokości 3200 metrów ciepły prąd, temperatura którego równała się 21°. Widzisz więc, kochany kapitanie, iż odbywał swą podróż prawie w tych samych, co i my, warunkach.

Otóż, gdybyśmy wyruszyli akurat 21-go grudnia, wtedy z zupełną ścisłością mogliśmy powiedzieć, że w tej chwili jesteśmy oddaleni od bieguna o $23\frac{1}{3}$ stopnia; przez ubiegły tydzień wszakże granica ciągłego dnia na tej półkuli usunęła się cokolwiek ku południowi: ujrzelśmy więc słońce nieco poza kołem biegunowem. Stąd łatwo obliczyć, iż znajdujemy się mniej więcej pod 67-mym stopniem szerokości.

— Czy nie zboczyliśmy ku wschodowi?

— Zdaje się, że nie, gdyż zegarki, nasze pokazywały północ w chwili, kiedy słońce ukazało się z pod widnokregu.

Kapitan potrząsnął głową.

— Cała ta sprawa nie przedstawia mi się tak jasno, jak tobie, inżynierze; wiem tylko jedno, że znajdujemy się poza kołem biegunowem w sferze długich dni: pod tym względem zgadzam się z panem zupełnie; nie wierzę jednak, że posuwamy się prosto na południe; gdybym wiedział, która tu jest godzina teraz, z łatwością obliczyłbym położenie geograficzne balonu.

— Ależ północ, kapitanie.

— Co pana upoważnia do takiego przypuszczania?

Wyobraź pan sobie, że prąd unosił nas przez cały czas od chwili wyjazdu, z szybkością 150-ciu kilometrów na południowy wschód. W takim razie również o tej porze wkroczyliśmy w sferę długich dni; mogło się to stać za dnia jeszcze; wtedy nie mielibyśmy nocy — słońce zniżyłoby się do horyzontu i znowu zaczęłoby się wznosić...

Jest to kwestya nadzwyczaj złożona.

Najlepiej uczynimy, czekając południa.

— Po co?

— Ażeby zaobserwować za pomocą sekstansu wysokość słońca; znając ją, będziemy w stanie oznaczyć zupełnie dokładnie geograficzne położenie balonu.

Gromski nie mógł nic zarzucić kapitanowi, który znał doskonale kosmografię i posiadał wieloletnie doświadczenie, zdobyte w podróży podbiegunowych. Po krótkim namyśle zgodził się więc czekać aż do południa. Ford radził jeszcze, ażeby opuścić się w niższe warstwy atmosfery i zmniejszyć w ten sposób szybkość balonu: inżynier jednak nie przystał na to.

— Jeżeli będziemy się posuwali nadal z tą samą, co dotychczas szybkością, to do południa zbliżymy się o kilkaset kilometrów do bieguna.

— Lub oddalimy się od niego — mruknął Ford.

I dzielny marynarz nie nalegając już, zajął się przygotowaniem instrumentów, niezbędnych do czynienia pomiarów.

W łódce znajdował się doskonale sekstans, mogący posłużyć do oznaczenia wysokości słońca, prócz tego Gromski zabrał z New-Yorku pyszny chronometr, zregulowany podług pierwszego południka. Tak więc kapitan miał do rozporządzenia wszystko, czego potrzebował.

Ustawwszy sekstans jaknajstaranniej i wydobywszy z futerału mapy morskie, Ford oczekiwał cierpliwie, aż gwiazda dzienna zbliży się do południka. Tymczasem James opowiadał inżynierowi szczegółowo o swych nocnych przygodach, przyznając się otwarcie do pomyłki i zmarnowania kilku kilogramów piasku. Była to dość ważna strata, Gromski starał się bowiem jak najoszczędniej używać balastu, zachowując go na krytyczną chwilę.

— Postąpiłeś jak kadet, mój stary — rzekł, wysłuchawszy sternika — niema nic prostszego, jak dowiedzieć się czy balon opada, czy też idzie w górę. Weź oto kawałek bibułki i rzuć ją w przestrzeń. No i cóż?

— Płynie razem z nami.

— No, a teraz napompuj trochę powietrza do wewnętrznego balonika; widzisz, puszczam bibułkę i ta idzie ku górze. To znaczy, że opadamy. Gdybyś opróżnił balonik, aerostat począłby się wznosić, a wtedy kawałek papieru opadłby na dół pod łódkę. Prócz tego sposobu, posiadamy inny jeszcze.

Rzekłszy to, Gromski wydobył ze swej torby podróżnej wstęgę papierową, długą na kilka metrów i przykleił ją do poręczy łódki.

— Wyobraź sobie, że to chorągiewka na maszcie okrętowym. Skoro tylko zaczniemy spadać, wstęga będzie powiewała ku górze.

Skończywszy swój wykład, Gromski poszedł spojrzeć na barometr; ten wskazywał 4200 metrów i nieznacznie się podnosił. Widocznie gaz rozszerzał się pod działaniem promieni słonecznych; inżynier nie chcąc się znaleźć za wysoko,



Prząśniczka automatyczna.

rozkażal sternikowi pompować wolno powietrze do wewnętrznego balonika. Dzięki tej ostrożności, aerostat aż do południa utrzymywał się na jednej płaszczyźnie horyzontalnej, nie dotykając warstwy obłoków, leżących o jakie dwieście metrów pod nim. Od pewnego czasu temperatura zaczęła znacznie się obniżać, termometr, który dnia 29 września o 8-mej południu stał na 21 stopniu, we dwaście godzin potem wskazywał już tylko 14: prąd ciepły ochładzał się zatem widocznie.

Na dobre pół godziny przed południem, Ford zasiadł przy sekstansie i nie odrywał już ani na chwilę oka od lunety, obserwując górowanie słońca; inżynier, klęcząc przy nim, oczekiwał z pewnym niepokojem rezultatu postrzeżeń.

Kapitan przekonał się, iż łódka aerostatu daleko lepiej nadaje się do obserwacji astronomicznych, aniżeli pokład okrętu; instrument bowiem stał zupełnie nieruchomie, jak gdyby spoczywał na granitowym podmurowaniu.

— Czy słońce jeszcze góruje? — zagadnął niecierpliwie Gromski.

Lecz Ford nie odpowiedział, nie słyszał zapewne; cała

jego uwaga skierowana była na nitki pajęczne, przez które przesuwiał się obraz gwiazdy dziennej.

— Południe — rzekł wreszcie, podnosząc głowę.

Obserwacja dokonana została z pedantyczną ścisłością; należało tylko odczytać łuk, wskazany przez alidadę i odnaleźć zboczenie w tablicach astronomicznych (Nautical Almanac).

— Siedmdziesiąty trzeci stopień, 22 minut, 40 sekund szerokości i trzydzieści ośm stopni, czterdzieści sześć minut na zachód od Greenwich — rzekł Ford, skończywszy rachunek.

— Ile, ile? — zawołał Gromski — ależ to niepodobna!

Kapitan jednak nie mylił się: leżący przy nim chronometr wskazywał wyraźnie godzinę drugą trzydzieści pięć minut po południu.

Zapisawszy te dwie liczby w dzienniczku, Ford wziął wielką mapę południowych części Atlantyku i rozłożył ją na platformie obok maszyny. Inżynier i sternik z niepokojem patrzyli, jak ołówek jego błąkał się po pustej białej przestrzeni, szukając oznaczonego punktu-

— Tu — rzekł wreszcie kapitan, robiąc małeńki krzyżyk.

Położenie tego znacznika było straszną niespodzianką dla naszych żeglarzy.

— Ależ my nie płyniemy do bieguna! — zawołał James-

Gromski nic nie odpowiedział; pochwycając tylko drżącymi ze wzruszenia palcami ołówek, nakreślił nim linię, biegnącą od przylądka Horn, aż do nieszczęsnego krzyżyka.

(d. c. n.)

NA OCEANIE LODOWATYM.

— Jesteście zatrzymani — rzekł pan B., kapitan okrętu „Delfin” do dwóch majtków, stojących z nim razem na pokładzie.

— Zdaje się że tak, proszę pana; strasznie nam te wiatry pomyliły drogę — odpowiedzieli zapytani.

Jak daleko można okiem sięgnąć, statek otoczyły ogromne masy lodu; smutnie wyglądał „Delfin” uwięziony wśród tego pola lodowego. Kapitan zamyślony chodził po pokładzie, znać było troskę na jego czole, i nie dziw, że się troszczył; żona i dwoje dzieci, Józio i Kasia podróżowali z nim razem, a perspektywa kilkudniowego uwięzienia wśród tych lodów nie była zbyt przyjemną.

Straszne wiatry, którym się statek oprzeć nie mógł gnały go przed siebie dni kilka; później przysła okropna mgła, a gdy ta opadła, kapitan znalazł się otoczonym górami lodowymi, które przyplwały i gromadziły się z niesłychaną szybkością. Wiedział, że niezadługo musi przyjść wiatr ze strony przeciwnej, który je rozegna, do tego jednak czasu nie było innej rady, jak poddać się losowi i czekać cierpliwie.

— Tatku, czy to prawda co ludzie mówią, że przez kilka dni będziemy tu stali uwięzieni? — odezwał się dźwięczny młody głos poza plecami kapitana.

— Czy to prawda, tatusiu? — zawołał drugi głosik na który twarz żeglarza rozjaśniła się w gnieniu oka. Odwrócił się do osóbkki zadającej to pytanie, złotowłosej o niebieskich oczach trzynastoletniej dziewczynki.

— Niestety! — odrzekł — jest to zupełną prawdą. Musisz więc powstrzymać się od wszelkich figlów i opiekować się dobrze naszą pieczęcią. — dodał zwracając się do piętnastoletniego chłopca, który stał obok siostry.

— O z przyjemnością ojcie. Eskimos Jack powiada, że mnie nauczy jeździć po lodzie sankami z psią uprzężą, choź Kasiu pojedziemy razem.

— O, nie — zawołał kapitan — nie możesz jeszcze brać jej z sobą, muszę najpierw zobaczyć jak ci się uda to powożenie, a pamiętaj nie oddalać się zbyt daleko od okrętu!



Na oceanie lodowatym.

— Dobrze, dobrze tatku. A tymczasem chodź Kasiu zobaczyć jak pojedę z Jack'em. I dorodny chłopiec puścił się naprzód, a za nim złoto włosa siostra, szczęśliwa zawsze ilekroć mogła się znajdować obok brata, bo po ojca Józio był dla niej największym bohaterem pod słońcem. Rzeczywiście był to miły i lubiany przez wszystkich chłopiec, począwszy od marynarzy uczących go trzymać wiosło, aż do Grenlandczyka Jacka, który łamaną angielszczyzną obiecał go wyuczyć powozić psami, tak jak to tylko oni, t. j. Eskimosi umieją. Dzień za dniem schodził a Delfin stał bezradnie, jeszcze się ruszyć nie mogąc, cała załoga zajęta była oczyszczaniem pokładu ze śniegu, który padał grubymi płatami od czasu do czasu. Zimno też było dokuczliwe, słońce grzać nie mogło

choć się codziennie ukazywało w kształcie wielkiej kuli ognistej, otoczonej wkoło świecącym pierścieniem.

— Czy to to samo słońce, które nam świeci w domu? — pytała Kasia — przecież tamto nie ma tej obręczy wokoło? I gdy ojciec tłumaczył jej, że to skutkiem zimna wydaje się jak gdyby słońce było otoczone takim jasnym pierścieniem, Kasia z podziwieniem wpatrywała się w niego i kiwała główką.

Józic starał się korzystać z wszelkich przyjemności i wrażeń swej podróży.

Czasami towarzyszył załodze, która pod przywództwem kapitana lub też pod-kapitana p. P. udawała się z dubeltówkami na dzikie pactwo, aby zasilić spiżarnię „Delfina”;

w bardzo stosunkowo krótkim czasie, pod kierownictwem Grenlandczyka, tak dobrze nauczył się powozić psami, że oboje z Kasią odbywali częste wycieczki w pobliżu okrętu, obawiając się dalej spotkać wilki. Józio mimo nadzwyczaj żywego i skorego do swawoli usposobienia, był zawsze bardzo czułym i uważnym względem siostry, którą kochał niezmiernie.

— Jaka to miła parka — mówili do siebie majtkowie, przypatrując się dzieciom z przychylnym uśmiechem.

Możecie sobie wystawić jakie przerażenie zapanowało pewnego popołudnia na statku, gdy spostrzeżono, że Józio i Kasia wyjechawszy przed dwoma godzinami nie powrócili jeszcze. Biedna pani B. w pół żywa z przestrawu, nie miała nawet siły płakać, kapitan dopiero co powróciwszy z polowania, bez chwili wypoczynku zadecydował, że kto tylko może oddalić się ze statku, uda się z nim razem na poszukiwanie dzieci, jak mógł i umiał pocieszał żonę, perswadując że nie ma jeszcze powodu do obawy, że dzieci może gdzie niedaleko zbłądziły i trafić nie mogą. Wziąwszy broń nabitą, na czele zebranej załogi wyruszył nie tracąc czasu. Ale co tymczasem porabiała dzieci?

Wyjeżdżając dnia tego na spacer, Józio zaproponował Kasi, że ją zawiezie do przesłicznych pieczar lodowych, które odkrył w jednej ze swych wycieczek.

— Ale czy one nie są zbyt daleko, kochany Józio? — zapytała nieśmiało Kasia.

— O nie bój się, dojedziemy prędko, a tak tam pięknie jak w zaczarowanym pałacu. I mnóstwo jest dzikich ptaków, zobaczysz jak ich kilka zastrzele — przekładał Józio.

— Może lepiej do jutra zaczekać i pojechać z ojcem — mówiła jeszcze Kasia trochę zaniepokojona tą wycieczką. Ale Józio nie miał ochoty ustąpić, wsiedli więc do sanek, Kasia wsunęła się pod ciepły futrzany fartuch, a psy zachęcane wykrzykami Józia „ho, ho”, pomknęły chyżo po twardym lodzie, unosząc za sobą lekkie saneczki.

Droga wydała się Kasi trochę długą, nigdy się tak jeszcze od okrętu nie oddalali. Wkrótce znikł on im zupełnie z oczu, ale Józio zapewniał że to tylko wielkie masy śniegu zakrywają im Delfina. Wkrótce dojechali już na miejsce.

— Chodź i zobacz jakie to piękne — mówił Józio wysadzając z sanek siostrę.

Rzeczywiście, widok jaki im się przedstawił mógł słusnie nosić nazwę czarownego.

Lód wznosił się dużemi kolumnami w około, duże sople zwieszały się jak kolce kryształowe, a słońce przebijające się przez kolumny nadawało wszystkiemu kolor błękitny. Długo dzieci stały w zachwycie nie mogąc oczu oderwać od tego cudnego zjawiska, wreszcie Józio, któremu głód zaczął się dawać we znaki, zawezwał do powrotu. Wrócili więc do sanek, i w chwili właśnie gdy Józio miał siadać przed siostrą, psy zaczęły szczekać i wyc niezwykłe na co on odwróciwszy się ujrzał olbrzymiego niedźwiedzia, który im się przyglądał spokojnie. W jednej chwili chłopiec ogarnął myślą grożące im niebezpieczeństwo, a bojąc się aby i Kasia nie spostrzegła olbrzyma, zaciął psy i zawróciwszy z miejsca popędził naprzód. Ale ciężkie kroki niedźwiedzia dawały się słyszeć tuż za niemi.

— Co to za dziwny odgłos za nami? — spytała Kasia, ale Józio udając że nie słyszy jej pytania, jednocześnie ujął dubeltówkę w rękę. Pędzili coraz prędzej. Jedna jeszcze chwila i niedźwiedź zrównał się z niemi... psy czując swe położenie stanęły, i zwróciwszy się do niedźwiedzia wyczekiwały walki na śmierć i życie; ucieczka już ich uratować nie mogła. W chwili kiedy z zajadłym szczekaniem rzuciły się na napastnika, Kasia spostrzegła grożące niebezpieczeństwo i ujrzała jak olbrzymie łapy ujęły w śmiertelnym uścisku pierwszego psa w zaprzęgu.

— O ratuj biednego Diska — zawołała z rozpaczą.

Józio wiedział że ich własne życie jest w równym niebezpieczeństwie, serce biło mu jak młotem ale ręka nie zdrżała ani na chwilę gdy ujął za dubeltówkę... pociągnął za cyngiel i... wystrzelił. Strzał był szczęśliwy, kula ugodziła niedźwie-

dzia pod uchem, runął całym ciężarem na ziemię, przyciskając jeszcze uduszonego Diska do siebie.

W tej chwili dał się słyszeć odgłos w oddali i dzieci ujrzały zbliżających się kapitana z załogą. Usłyszeli oni strzał i to skierowało ich kroki w tę stronę, przyszli jeszcze na czas aby zobaczyć ostatnie poruszenia niedźwiedzia.

Radość na okręcie po odszukaniu dzieci łatwiej można sobie wyobrazić, jak opisać ją, a chociaż ojciec ostro lajał Józia, za bezmyślne narażanie siebie i siostry na okropne niebezpieczeństwo, jednak dodał że dumnym jest z odwagi swego syna.

W kilka dni później Delfin mógł już płynąć dalej bezpiecznie; zabrano skórę zabitego niedźwiedzia, a w wiele lat później Józio, już wtedy jak ojciec kapitan okrętu, patrząc na nią ze zgrozą, przypominał sobie jak skutkiem swej lekkomyślności, naraził nie tylko swoje życie, ale życie tej jedynej siostry, która zawsze była i jest dla niego najdroższą przyjaciółką.

M. Ch.

WŁASNYCH SIŁACH.

POWIEŚĆ

p. Bronisławę Porawską.

(Dalszy ciąg).

OWOCE PRACY.

W niewielkim zacienionym ogródku, w pośrodku stała lipa staruszka, i szeptem gwarzyła coś z sąsiadką brzezina, która acz wzrostem wybujała, zdawała się być wiekiem o wiele młodszą. Długie sploty z wdziękiem zwieszała ku ziemi, a biała szata dodawała jej uroku, wyróżniając z pośród licznych sąsiadów. O czem lipa staruszka opowiadała swej sąsiadce, trudno było podsłuchać, bo straż nad tajemnicą powierzono wiatrowi, a wiadomo, jaki to on gwar i szum potrafi urządzić gdy zechce, że przy najlepszych nawet chęciach, nie posłyszeć nie można. Ale w tej chwili wietrzyk drzemał sobie spokojnie, bo w ogródku, prócz kwiatów zajętych własnymi sprawami, i nie zważających wcale co takie olbrzymy w górze ponad niemi sobie opowiadają, była tylko jedna osoba, siedząca na wygodnej ławce pod cieniem odwiecznej lipy, ale i ta widocznie, nie miała ochoty do podsłuchiwania cudzych tajemnic. Więc lipa gwarzyła swobodnie, brzoza słuchała w tęsknem zamysleniu, kwiatki filuternie spoglądały ku sobie, a osoba siedząca na ławeczce, wsparła głowę o gruby pień drzewa i zadumała się głęboko.

Była to staruszka bardzo starannie ubrana, w białym przejrzystym czepeczku, suto garniowanym koronkami, z pod którego również białe widać było włosy, gładko uczesane nad czołem. Na pomarszczonej jej twarzy znać było spokój i ową błogość ludzi, którzy po przejściu burz życia, doznają nareszcie ukojenia i wypoczynku, i widzą, że dobili szczęśliwie, do portu, gdzie wylądowawszy, nie doznają już nigdy, nigdy łez ani cierpienia.

U nóg staruszki leży duży, połyskliwy jak jedwab czarny wyżeł, który śpiąc niby, podnosi jednak co chwila mądre swe oczy na panią, przy której straż trzyma.

W staruszce tej poznajemy p. Grzymalinę, z którą się spotykamy po latach dziesięciu, gdyśmy ją jeszcze zostawili w pokoiku u państwa Doliwów. Tych lat dziesięciu nie znać jednak na twarzy staruszki; nie wyrwały one swych śladów, owszem wyglądały i rozjaśniły twarz dawniej smutną, dając jej wyraz szczęśliwości, która już nic nie pragnie. Na kolanach jej, jak i za dni dawnych, leży nieodstępna towarzyszka, pończocha, zżyły się one już widać z sobą, i nie rozłączają nigdy.

Naraz, wyżeł poruszył się niespokojnie, i nastawił uszu, jakby usłyszał jakiś odgłos daleki, a po chwili zerwał się i w radosnych podskokach pobiegł krętą ulicą między różnobarwnymi kwiatami.

Ale pies nie o kwiatach myślał, bo na końcu ulicy ukazał się wysoki mężczyzna, i ku niemu to właśnie wyżeł biegł w szalonych podskokach. Nie trzeba objaśniać czytelników, że był to Jerzy Grzymala, nie ten Jurek wymizerowany pracą, ale mężczyzna dojrzały. Słomiany kapelusz niósł w rękę, aby ochłodzić czoło, i szedł spocząć w cienistym ogródku, gdzie już słońce zachodzące nie sięgało swemi promieniami.

— Powoli Zoro, powoli — rzekł głaszcząc psa po łśniacej głowie, i tamując zarazem zbyt żywe jego podskoki — gdzie pani? prowadź!

Pies sunął znów naprzód, oglądając się czy pan idzie za nim, i skowycząc radośnie, biegł do pani Grzymaliny przed którą stanął wachlując zamasyżcie ogonem.

Staruszka ocknęła się z zadumy, i podniosła się żwawo mówiąc:

— Aha, pan idzie, czy prawda Zoro?

W tej chwili Jerzy zjawił się pod spuszczone mi konarami lipy.

— Jurek, synek mój przyszedł — rzekła staruszka wyciągając ręce.

Jerzy ucałował jej ręce, a objawszy ramieniem posadził na kanapce, i sam zajął przy niej miejsce.

— Zawsze tak długo przy pracy — rzekła staruszka — nigdy wypoczynku, nigdy wytchnienia. Zamęczysz się synku!

Była to codzienna wymówka, pierwsze słowa jakimi witała wracającego od pracy wnuka. Jerzy przywykł już do nich, nie tłumaczył się więc, lecz zaczął opowiadać różne zdarzenia aby rozerwać umysł babki.

Siedzieli tak jeszcze chwil kilka, ale gdy zmierzch zapadać począł, Jerzy obawiając się chłodu dla babki, podał jej ramię i poprowadził do domu.

Był to ładny, prawdziwie wiejski dworek, otoczony sztachetami z frontu, z ogródkiem od dziedzińca, z werendą pokrytą pnąciami różami i winem. Lecz Jerzy wprowadził babkę do pokoju, by jej nie zaszkodziła wieczorna rosa. Tu stał już stół nakryty, a przy stole krzątała się młoda kobieta, przedstawiając z miejsca na miejsce różne przystawki do herbaty, czemu przyglądała się z lekkim uśmiechem młoda dziewczyna. trzymając talerze.

To także nasza znajoma: któżby nie poznał panny Antoniny, po tym poczciwym, dobrym wyrazie twarzy, i bezustannem gderaniu, które jednak nic przykrego w sobie nie zawierało?

P. Antonina od lat trzech, to jest odkąd umarł zacny jej kuzyn, przebywa u Jerzego, aby pani Grzymalina miała opiekę i wyłączenie w gospodarstwie domowym. Wywiązuje się z tego wybornie, zawsze czynna i pełna jak najlepszych chłeci, duszą całą niemal przylgnęła do swych przyjaciół, i dogadza pani Grzymalinie, jak niegdyś dogadzała Jurkowi. Nawet i posługująca dziewczyna, to owa Julka, córka stróża, znająca od tak dawną pannę Antoninę, to też wszelkie jej marudzenia przyjmowała z niezmaconym spokojem i cierpliwością.

Gdy Jerzy wprowadził babkę, panna Antonina zakłopotana się, że jeszcze nie wszystko przygotowane do wieczerzy, i Julka wyszła na tem najgorzej.

— Mówiłam, że nie będzie na czas — zaczęła — ale i ciebie to wszystko zawsze *lelum poletum*, nic w porę, a potem cały wstyd na mnie.

Dziewczyna przygryzła usta aby się nie uśmiechnąć, a Jerzy załagodził sprawę oświadczając, iż bardzo dobrze się stało, że jeszcze herbata nie gotowa, bo nic a nic nie głodny, trochę później będzie mu lepiej smakowało.

— Panu zawsze dobrze! — rzekła panna Antonina nie przerywając swego zajęcia — albo to kiedy co powiesz? Choćby ci trzy dni jeść nie dano, to i tak dobrze! Anioł nie człowiek — mruknęła, tak jak dawniej mawiała „ryba nie człowiek”.

Herbata istotnie była gotową, chodziło tylko o postawienie tacy, którą Julka trzymała, i wkrótce też zabrano się do posiłku, który wskazywał że dom był zamożny i utrzymany dostatnio.

Po skończonym śniadaniu Jerzy zaczął chodzić po pokoju zamysłony, co mu się nie często zdarzało.

Panna Antonina tymczasem rozwodziła się do pani Grzymaliny nad dobrocią i pracowitością Julki.

— Na sto jedna, pani droga — mówiła w zapale — bo to i ciche, potulne, a pracowite, a porządne. Ot, cały mój kłopot, żeby za mąż nie poszła, jak ta niecnota Zuzia. Uchowaj ją Panie aby od męża, bo co jabym bez niej poczęła? Ale muszę iść zobaczyć co ona tam robi. Wszystko na mojej głowie, gdy tylko nie dojrzeć!

I panna Antonina podreptała do kuchni, aby marudzić na Julkę, że nic nie robi, że w głowie ma wróble, i że harda nie do wytrzymania.

Dziewczyna milczała, zmywając szklanki i talerze; rozumiała ona dobrze co to wszystko znaczy.

Po wyjściu panny Antoniny, Jerzy usiadł naprzeciw babki i rzekł bez wstępu.

— Czy nie miałabyś nic przeciw temu babuniu, abym się ożenił?

— Z Renią? — rzekła bez zdziwienia, jakby ta rzecz była jej wiadomą, chociaż nigdy nie mówili o tem.

— Tak, z panną Ireną — odrzekł powoli — Nie mówiłem dotąd o tem z tobą babuniu, bo Witold starał się o nią. Wiesz że to człowiek bardzo bogaty, przystojny, i pod żadnym względem nic mu zarzucić nie można.

— Co za porównanie z tobą! — zawołała babka.

— Dla ciebie, babuniu — odrzekł z uśmiechem — ale ja nie tak może myślę; nie pod względem wartości osobistej, ale...

— Daj pokój — przerwała babka — on ma majątek który odziedziczył po przodkach, ma miliony nie własną zdobyte pracą, co mu wprawdzie nie przynosi ujmę, ale też i zasługi żadnej.

— Ale dobrze używa majątku, babuniu, i to już jego własna zasługa.

— Dumny, pyszałek! pamiętam jak tobą pogardzał, żeś był biedny, i od najmłodszych lat pracować musiałeś.

— Stronił tylko odemnie babuniu, ale nie pogardzał, bo ja na pogardę nie zasługiwałem nigdy. Zresztą, dziś Witold się zmienił, umie szanować ludzi, czego dowodem że starał się o pannę Irenę, która chociaż z zacnej pochodzi rodziny, nie ma majątku, ani też rodzice jej nie zajmowali wysokiego w świecie stanowiska.

— Ba, Renia — rzekła staruszka takim tonem, jakby mówiła o jakiej księżniczce — Reni ty jeden wart jesteś, i wiem że dla ciebie odmówiła Szaruckiemu.

— Odmówiła?

— Naturalnie, to także, ty i on, co za różnica...

— Ogromna babuniu — ja, dyrektor rozwijającej się dopiero fabryki, ot, garbarz poprostu, i on — pan milionowej fortuny, wykształcony i dobry, szlachetnie dobry, skoro chciał swe dostatki podzielić z ubogą panienką.

— Będiesz i ty miał dla niej chleba dosyć, a jak *nasza* fabryka stanie na równi z zagranicznymi, jak stamtąd zaczął przyjeżdżać do nas po skóry, to i ty będziesz miał miliony.

— Alboż to z nich tylko szczęście? — powiedział Jerzy z lekkim uśmiechem — Ja rozwoju naszej fabryki pragnę, nie dla wielkich zysków osobistych. Mojem marzeniem babuniu, jest dać zarobek setkom rodzin, dać im byt uczciwy i coś więcej za ich pracę, niż suchy kawałek chleba!

— Niedarmo tak cię robotnicy kochają — rzekła babka z rozrzewnieniem patrząc na wnuka — ale synku, to błogosławieństwo babki, dla której zawsze byłeś chlubą i radością, wyjednało ci tę miłość u ludzi. Nacierpiełeś ty się biedaku chłodu i głodu i od najmłodszych lat pracowałeś ciężko na swoje utrzymanie, a potem i na mnie. Niech ci to Bóg płaci synku; niech cię setnie nagrodzi.

— Nie ja to dla ciebie, ale ty dla mnie babuniu wiodłaś żywot ciężki. Któż mię wychował, kto szczepił w sercu mojem miłość pracy i poczucie obowiązku? Kto strzegł w duszy mojej wiary, tego skarbu, bez którego niema prawdziwego na ziemi szczęścia, kto, jeżeli nie ty, babuniu?

Pani Grzymalina zamyśliła się głęboko, a po długiej chwili milczenia rzekła:

— Tak było z początku Jurku, ale potem +vs szedł o *własnych siłach*. Gdyś po skończonych naukach wrócił z Petersburga wymizerowany pracą i niedostatkiem, czyś od-począł choć tydzień? Nie, ty musiałeś czempredzej szukać sobie zarobku, i za jaką to płacę pracowałeś, aby plany i zamiary twoje przyszły do skutku! Robotnikiem byłeś w fabryce, boś chciał, jak mówiłeś, poznać ciężar pracy ludzkiej, jakbyś ty tego ciężaru nie znał, biedaku! Dziś wszystko winien sobie, wszystko, mój synku; mam dostatni byt i mnie starą otoczyłeś wygodą, ba, zbytkiem nawet.

— To twoja zasługa babuniu; umiałaś w mem sercu wzbudzić taką cześć i wdzięczność dla siebie, że nie było tak ciężkiej pracy, którejbyś nie podjął dla ciebie. To twoja zasługa.

Pani Grzymalina poruszyła się na krześle.

— Wszystko moja zasługa — powtórzyła z żywością — i to pewnie, żeś umiał pozyskać miłość i zaufanie ludzi bogatych, że ci uwierzyli i wspólnymi siłami założyli tę oto fabrykę; i to moja zasługa, że przybywa akcyonaryuszów i że z dniem każdym niemal interes się powiększa, tak, i to, moja zasługa!

— Twoja babciu, boś wpoila we mnie zasady, przy których stojąc, zyskuje się zaufanie i szacunek ludzki.

Staruszka machnęła ręką, byłaby jeszcze z pewnością coś powiedziała, ale panna Antonina weszła tak przestraszona, że wszyscy poczuli złą nowinę. Nie trzeba było objaśnienia, w tej chwili bowiem rozległ się okrzyk: *gore!*

— Fabryka się paliła. Wszelki ratunek był daremny, wszystko zgorzało ze szczeniem.

Domek dyrektora tylko ocalał cudem prawie: w najniebezpieczniejszej chwili wiatr się odwrócił w przeciwną stronę, i dworek został uratowany.

Gdy w tydzień po tej katastrofie, Jerzy siedział przy łóżku babki, zaczynającej ledwie przychodzić do zdrowia, po chorobie, w jaką wpadła z przeleknienia, dano mu znać, że jakiś pan chce się z nim widzieć.

Wszedłszy do saloniku, ze zdziwieniem ujrzał Witolda Szaruckiego; powitał go jednak uprzejmie, i ze zwykłą swą od lat najmłodszych szczerością powiedział.

(d. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

Państwo Holubowie.

Do najznamienszych podróżników w dzisiejszych czasach, należy Czech, dr. Holub oraz żona jego, która podzielała z nim trudy niebezpiecznych wycieczek w głąb Afryki, dopomagając w pozyskaniu, a następnie przewiezieniu do Europy

bogatych etnograficznych zbiorów z których urządził w Wiedniu wystawę afrykańską. Wystawa ta obecnie dopiero zamknięta, z powodu że na żądanie Czechów przewieziona zostanie do Pragi, zadziwiała mnóstwem nagromadzonych przedmiotów, zebranych z godną podziwu wytrwałością w po-śród rozlicznych plemion murzyńskich. Zajmowała ona w Praterze znaczną część budynków dawnej międzynarodowej wystawy wiedeńskiej; oprócz bowiem ogromnej liczby zwierząt, ptaków, naczyń, broni, ubiorów i t. p. przedmiotów, mieściła podobizny całych osad, na progach których siedzieli krajowcy, również wiernie naśladowani jak chaty ich, drzewa, rośliny i zwierzęta. Wśród tych obrazów ludzi i przyrody, można było uleść złudzeniu że się jest na ziemi afrykańskiej. Jeden np. z takich widoków przedstawiał dzikiego afrykańskiego królika, znanego z okrucieństwa, w otoczeniu najbliższem, wpośród którego odznaczał się kat wykonawca licznych wyroków śmierci; drugi znów murzyna zaczajonego na wychodzącego z wody krokodyla. Dr. Holub nie posiadał własnych funduszów na koszt wycieczek jakie odbył, nabył zbiorów i urządzenia wystawy. Zebrał je przeto z urzą-dzonych na ten cel trzystu kilkudziesięciu odczytów, po róż-nych miastach niemieckich, w których zapoznawał zebranych słuchaczy ze szczegółami poprzednich swych podróży do Afryki. Odczyty te przyniosły mu dopiero potrzebne pieniądze na tak znaczne wydatki.

ZAGADKA.

przez Ewę Maryę.

Nie trudne wcale zadanie!
Z trzech liter niewiasty imię,
Na odwrót zaś powitanie
Pełne powagi, niegdyś w Rzymie.

Proza do ułożenia na wiersze.

W dumaniu samotnem, chodząc po gaju, nie dbając o to co się tłoczy w umysł, naraz zoczyłem w cieniu, w pięknem ubraniu kwiat, powabny jak gwiazdy, jak oczy! Chciałem go zerwać, lecz on miłe rzekł mi: Czym na tak krótką chwilę ja stworzony? Dlatego z onego miejsca wzięłem go i przesadziłem do mojego ogródka. A tu przy moim boku i przydomku, od roku do roku rośnie i kwitnie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 7-go.

Szarady: Litera W. Woda — Oda.

Rebusu: Cicha woda brzegi rwie.

PRENUMERATA WYNOŚI:

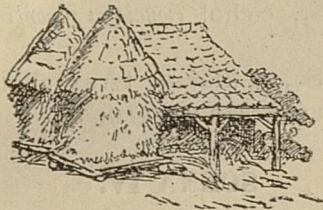
W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Dla czego na górach zimno, skreślił Stanisław Kramsztyk (z drzew.) — Prząśniczka automatyczna (drzew.) — Balonem do bieguna p. Wł. Umińskiego. — Na oceanie lodowatym (z drzew.) — O własnych siłach, p. Bronisławę Porawską. — Rozmaitości — Łamigłówki i rozwiązania. Dodatek: Na cudzym chlebie, wiersz (z drzeworytami). — Przyrzeczenie, komedyjka. — Odwaga i zuchwałstwo p. M. P. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzyńka do listów. Dodatek książkowy: Wśród puszczy meksykańskich.

WIECZORY RODZINNE.

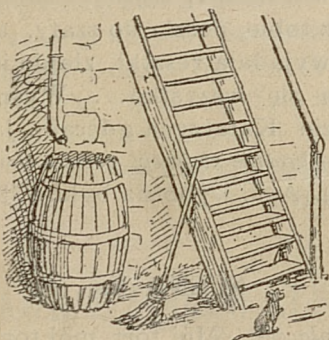
NA CUDZYM CHLEBIE.



Pewnego rana
Szczur, który dotąd mieszkał w stogu siana
Często mrąc głodem, powiedział sobie:
— Już wiem co zrobię!
Mam siedzieć w dziurze, to wołę przecie
Spróbować szczęścia na świecie. —

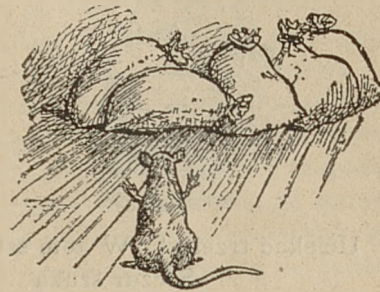


Kij wzięwszy w łapę, biedny szczurzyna
Szedł w stronę siedzib człowieka.
Droga trudna, nudna, daleka...
Wtem patrzy stoi drabina.



Że zaś na nędznej był dyecie,
(Bo jak to i sami wiecie:
Nie utyje szczur na sianie)
Więc też podobien był szcząpie,
I rzecze: „Ja się tu wdrapię!”
Wcale nie trudne zadanie!
Wszedł i przez szparę zajrzawszy do wnętrza,
Skamieniał na widok taki;
Jeszcze go wzięła gorętsza,
Chętka na życia rozkosze!
Bo tylko pomyślcie, proszę,
Jakie tam były przysmaki!

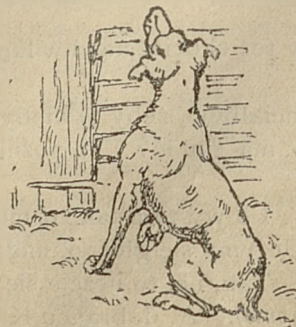
Dodatek do N. 9, 1892 r.



Wór obok woru stoi wypchany
Mączystem ziarnem po szyję.
Szczurowi aż serce bije.
(Biedak na głodzie chowany)
— „Jacy ci ludzie szczęśliwi! —
Powiada — ile tu ziarna!
Toć i istota się marna
Pożywi
Tam, gdzie tak pełne spichlerze!”
Rzekł i do dzieła się bierze.
Smakują mu specyały,
Ucztuje miesiąc cały,
Drugi i trzeci,
Czas leci,



A szczur ani się ruszy.
Nabrał tuszy,
Zdrów, okazały,
Nie pyta co dalej będzie.
Aż dnia pewnego, niewiedzieć czego
Tuż pod śpichlerzem psy zaszczekały.
Szczur w strachu... Kręci się wszędzie:



Z psami nie żarty,
To naród strasznie uparty,

Zawzięty na życie szcurze!
Stanie przy dziurze,
I nie daruje szcuruowi,
Natychmiast złowi!



Uciekać trzeba! W tem sztuka!
Szczur szuka
Znajomej sobie szczeliny
Ale od owej godziny,
Kiedy wszedł tutaj strawion przez głody,
Dużo upłynęło wody.
Z taką wspaniałą figurą
Nie wymknąć się lada dziurą. (d. n.)

PRYZRZECZENIE.

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSŁONIE

(dla Grażynki i Tereni W.)

(Dokończenie).

SCENA III.

KATARZYNA. To bardzo nieładnie, że Lucia mię tak zwiodła, pani mię nie wołała wcale.

LUCIA. Moja Katarzyno, na cóż bym miała zwodzić, z pewnością się przestyszałam. Mama wołała kogo innego, a mnie się zdawało że Katarzynę.

JANEK. Tak, tak z pewnością, ja też słyszałem, że mama kogoś wołała, ale kogo, nie mogłem zrozumieć.

MARYNIA. Widzi Katarzyna. Byliśmy sami i jak cicho, spokojnie się uczyliśmy, dla tego, że nam Katarzyna nie przeszkadzała.

STEFICIO. A teraz zaledwie Katarzyna przyszła; już gada i gada i nie możemy się uczyć.

KATARZYNA (siada i szyje). No, no, moje robaczki uczcie się, uczcie, już się nie odezwę.

LUCIA (na stronie). Ma klucze w kieszeni, żeby je tak można wydostać.

MARYNIA. Ale, nie tak to łatwo, jak nam się zdawało.

JANEK. Żeby też chociaż na chwilkę położyła gdzie te klucze.

STEFICIO. Chciałbym, żeby je kiedy zgubiła.

LUCIA. Poco ma gubić? To później jeszczeby ich więcej pilnowała.

KATARZYNA. Co wy tam tak rozmawiacie?

MARYNIA. Uczymy się głośno, moja Katarzyno.

KATARZYNA. Tak, no, to uczcie się, uczcie (ziewa).

JANEK (na stronie). A, dobranoc Katarzynie.

STEFICIO. O! co za szczęście, Katarzynie spać się chce, trzeba nam zachować się cichutko, to zaśnie.

LUCIA. A wtenczas klucze nasze! (Przez jakiś czas piszą z zajęciem, Katarzyna zasypia).

MARYNIA. Luciu, patrz jak Katarzyna śpi smacznie.

JANEK. Teraz trzeba się dobrać do kieszeni, tylko cichutko, żeby ją nie przebudzić. (Wszyscy na palcach zbliżają się do Katarzyny).

STEFICIO. Wy stójcie, a ja jej cichutko kluczyki wyciągnę.

LUCIA. Stefciu! tylko nie dzwoń niemi.

STEFICIO. Pst, cicho! (wyciąga powoli klucze z kieszeni Katarzyny).

MARYNIA. Są, są klucze, teraz chodźmy do szafy (Wszystkie dzieci ze śmiechem wybiegają).

SCENA IV.

(Katarzyna sama).

KATARZYNA (budzi się). Zdawało mi się, że się ktoś śmiał koło mnie, musiałam długo spać; dzieci się lekcyi wyuczyły i poszły sobie. A jak to cichutko siedziały, kochane robaczki... Chociaż to lubią i poswawolić, podokazywać, pożartować sobie, zwyczajnie jak dzieci, ale to są złote serduszka. Jak to i teraz, tak się cichutko uczyły, żeby mi snu nie przerwać. Niech im to Bóg wynagrodzi! Ale to pewnie późno, trzeba iść podwieczorek przygotować. (kładzie rękę do kieszeni). A! wszelki duch Pana Boga chwali! Gdzie moje klucze? Przecież pamiętam, włożyłam je do kieszeni; czyby mi wyleciały? a, może, może, trzeba poszukać! (kręci się po scenie i szuka wszędzie). Niema, niema nigdzie. (Wchodzi Lucia, chowając za siebie słoiczek z galaretką).

LUCIA. Czego to Katarzyna tak szuka?

KATARZYNA. Kluczyki, kochanko, zgubiłam.

LUCIA. Doprawdy? to dziwne, jeszcze nigdy coś podobnego Katarzynie się nie zdarzyło.

KATARZYNA. A może je przy szafie zostawiłam (wychodzi).

LUCIA (Otwiera słoiczek, wyjmuje z kieszeni łyżeczkę i zaczyna jeść). Masz tobie, poszła do szafy, a tam Marynia, Janek i Stefco wyjadają resztki, złapie ich na gorącym uczynku i wyda się wszystko... Wyśmienita ta galaretka! O! będzie Katarzyna gderała, jak ich zastanie przy szafie. (Wyskrobuje słoiczek, poczem chowa go wraz z łyżeczką do szuflady). Ach! wyborna była. (Wchodzi Marynia, Janek, Stefco).

SCENA V.

MARYNIA (płacze). Mój tort, mój tort przepadł! Nie będzie pączków, nie będzie imienin, wszystko przez ciebie Janku!

JANEK. A czy ja ci kazałem zjadać? Mogłaś nie jeść!

MARYNIA. Pocoś mówił o tych orzechach i konfiturach?

LUCIA. Co to ma znaczyć Maryniu? czego ty płaczesz?

MARYNIA. Tak, czego płaczesz? Jak nie mam płakać, kiedy nie będzie moich imienin. (płacze).

LUCIA. Powiedźcie mi przecie, co to wszystko ma znaczyć, ja nic nie rozumiem.

STEFICIO. Czy nie wiesz, że jutro Maryni imieniny?

LUCIA. Gdzież tam nie wiem! Wiem o tem bardzo dobrze, no, ale cóż z tego?

JANEK. Te orzechy były przygotowane na tort, który miała dzisiaj zrobić Katarzyna, a te konfitury były do pączków także na jutro.

MARYNIA *(placze)*. A teraz myśmy prawie wszystko zjedli i nie będzie tortu, nie będzie pączków, nie będzie wcale imienin.

LUCIA. Jakto, przecież imieniny być muszą.

STEFICIO. Imieniny będą, ale Katarzyna powiedziała, że gości nie będzie można zaprosić, gdyż nie będzie ich czem poczęstować.

LUCIA. Mój Boże! jaka szkoda, jaka szkoda, cośśmy to jedli!

MARYNIA. Tak, przez was, nie będę miała imienin. *(wchodzi Katarzyna)*.

KATARZYNA. To wcale nie pięknie, tegom się nie spodziewała, żeby mi wyjąć klucze z kieszeni, dla łaskomstwa. Tego już zanadto!

JANEK. Moja kochana, moja droga Katarzyno, nie gniewajcie się na nas!

LUCIA. Już nigdy, nigdy tego nie zrobimy.

STEFICIO. Moja Katarzyno, przebacz nam, przebac, to już raz ostatni.

KATARZYNA. I co mi z tego, kiedy nie będzie teraz, ani pączków, ani tortu, pani będzie się gniewała...

LUCIA. My mamę przeprosimy, przyznamy się szczerze do winy, ona nam wybaczy. Nasza mama taka dobra, pozna, że żałujemy szczerze, i wszystko dobrze będzie.

MARYNIA. O tak, mama nie będzie chciała żebym tak była nieszczęśliwą w moje imieniny.

JANEK. Już nigdy nie będę was namawiał do złego, chociaż zobaczę, że Katarzyna coś najlepszego chowa do szafy.

STEFICIO. A ja, chociaż mi każesz, to nie będę wyciągał Katarzynie kluczyków z kieszeni.

LUCIA. Wszyscy, wszyscy przyrzekamy poprawę.

KATARZYNA. Mój Boże jak się to gniewać na te dzieciaki! Wstawię się i ja za wami do mamy, to może daruje... Mam tam jeszcze migdały i trochę konfitur to się i na pączki i na tort jaki taki zdobędę!

Niezapominajka.

ODWAGA I ZUCHWAŁSTWO.

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO M. P.

(Dalszy ciąg).

Wjechaliśmy na pagórek i pędziliśmy teraz po równej drodze prowadzącej do kołowrotu. A jeżeli on jest zamknięty? Czy koń zawróci? czy się zatrzyma? czy może przeskoczy? A jeżeli przeskoczy? (wiedziałem że pułkownik nieraz na nim polował) to co się z nami stanie? Usłyszałem za sobą głos Julka; odmawiał pacierze i prosił Boga żeby nas nie wypuszczał ze Swej opieki, i czuwał nad nami aż do samej śmierci. W tej chwili słowa modlitwy nabrały dla mnie innego znacze-

nia, bo „dziś mogło być krótkie, a śmierć tak bliska! Chciałem powiedzieć „Amen”, kiedy skończył, ale głos uwiązał mi w gardle i tylko sercem i duszą przyłączyłem się do prośb mego brata. Przelecieliśmy przez kołowrót: na szczęście był otwarty, stary pocziwy, stróż chciał chwycić lejce i zatrzymać rozhukanego konia, ale to jeszcze więcej szpaka przestraszyło, rzucił się w bok tak, że o mały włos z powozu nie wypadliśmy, i popędził dalej, zdaje się prędzej niż przedtem. Julek zamknął oczy, trzymał się poręczy i nie mówił ani słowa, mnie już się w głowie zaczynało kręcić, dzwoniło mi w uszach, a ręce, z których cugli nie wypuściłem, zdrętwiały jak drewno. Nie wiedziałem gdzieśmy się znajdowali, nie widziałem drogi przed sobą, kiedy nagle galop zmienił się w klusa, a klus w stępa; w końcu szpak zatrzymał się i patrzył przez bramę prowadzącą na podwórze pułkownika: kiwał głową i rżał do towarzysza stojącego w stajni, tak zupełnie jak gdyby nic złego nie zrobił.

Chłopak stajenny przybiegł zdziwiony, żeśmy tak prędko i bez pułkownika wrócili; opowiedzieliśmy mu cały wypadek, ale widać więcej go zajmowało zdrowie szpaka niż nasze przygody, bo opowiadania słuchał jednym uchem, a z niezmierną troskliwością opatrywał nogi konia i wycierał mu grzbiet i boki garścią suchego siana.

Julek usiadł na schodkach przed domem, ja stanąłem koło niego i oparłem się o ścianę: obaj czuliśmy się niezmiernie zmęczeni i oszołomieni, i nie mieliśmy najmniejszej ochoty się ruszać. Tak nas też zastał pułkownik, który w jakie dwadzieścia minut później przyjechał na koniu pożyczanym w Meddlingtonie. Był bardzo blady, głos mu drżał kiedy przyszedł do nas, położył nam ręce na ramionach i powtórzył kilka razy: Chwała Bogu... chwała Bogu... chwała Bogu!

Potem usiadł na schodkach, Julka pociągnął do siebie, a mnie wziął za rękę i powiedział:

— Tomku, postąpiłeś jak prawdziwy bohater; rodzice powinni być dumni z ciebie. Słyszałem, jakieś wołał na Julka żeby nie zeskakiwał, a przechodnie i stróż w kołowrocie powiadali mi, żeś ani na chwilę nie wypuścił z rąk cugli i wciąż starałeś się konia powstrzymać. Oszalałem chyba, czy co? żem was samych zostawił! — mówił pułkownik, chodząc wielkimi krokami tam i napowrót. Gdyby się wam było co złego stało, tobym sobie nigdy nie przebaczył; i teraz nie mam prawa sobie przebaczyć, bo tylko Opatrzności zawdzięczacie ocalenie. Tyle razy zostawiałem konia samego i nigdy mu żadna fantazja do głowy nie przyszła. W każdym jednak razie ja tu jestem winien i broń Boże nieszczęścia, nie śmiałybym matce waszej w oczy spojrzeć.

Tak mi było przyjemnie, kiedy pułkownik mówił o mojej odwadze i o tem że rodzice będą dumni ze mnie, że chętnie bym się znowu naraził na podobną przeprawę, byle mnie jeszcze raz nazwał bohaterem; ale później gdy sam sobie winę całą przypisywał, coś mi niemile tknęło, do tego Julek patrzył na mnie jakby się czegoś spodziewał, i w końcu większą miałem ochotę płakać, niż się cieszyć z pochwał pana Morris'a.

Czasami bardzo jest trudno powiedzieć prawdę — w tej chwili zwłaszcza niepodobna mi było przyznać się

do winy, chociaż wiedziałem co wzrok Julka znaczył. Wszyscy mieli mię za bohatera; mówiąc prawdę zeszedłbym z piedestału i byłbym powszechnie uważany za nieposłusznego urwisa, który konia podrażnił i naraził Julka i siebie na wielkie niebezpieczeństwo.

— Musicie zaraz wracać do Oatsland — powiedział pułkownik — bo pani Blossom może się dowiedzieć o wypadku, zanim was zobaczy całych i zdrowych. Oto właśnie jeden z wozów fermera wraca do domu, siadajcie nie tracąc czasu, to i Julek nogi swojej nie zmęczy.

Zawołał wóz, pomógł nam wdrapać się na siano i pożegnał serdecznie. Myśmy się głęboko zasunęli w siano i wóz powoli potoczył się po równej drodze. Ledwieśmy ruszyli, jeszcze pułkownik stał przed bramą i patrzył za nami, kiedy Julek chwycił mię za rękę i zawołał:

— Tomku, dlaczego?

— Daj mi pokój — odburknąłem — jestem zmęczony. Ręce mię bolą, jak gdyby miały poodpadać. Zasunąłem się głębiej w słomę i milczałem, a i Julek już się do mnie nie zwracał.

W domu państwo Blossom wynosili moją odwagę pod niebiosa; musiałem im opowiedzieć naszą przygodę ze wszelkimi szczegółami, a widząc ich zachwyt i słysząc same pochwały, czułem się znowu zupełnie szczęśliwy.

Jednak wieczorem, kiedym odmawiał modlitwy i dziękował Bogu za ocalenie, przyszły mi na myśl słowa mamy, że trudniej jest nieraz powiedzieć prawdę niż zdobyć się na czyn najwaleczniejszy.

Dlaczegoż ja tej odwagi nie miałem, dlaczego pułkownikowi nie powiedziałem: „To moja wina, szpak stałby spokojnie, gdybym mu nie dokuczał, a wkońcu nie uderzył. Niech pan sobie wyrzutów nie robi”. Teraz już zapóźno—dodałem z westchnieniem i poszedłem spać.

(d. c. n.)

SZARADA.

Ułożona przez Jaskółkę dla Skrzętnej pszczołki.

Wspak pierwsze w liczbie naszych rzek znajdziecie,
Kraj w Europie znów drugie i trzecie.
Drugie to zwierzę. A wszystko kwiat,
Co rośnie zwykle koło wiejskich chat.

ŁAMIGŁÓWKA LICZBOWA.

W kwadracie z 9 podziałek, umieścić w około, pozostawiając środkowy kwadracik próżny, takie liczby, aby w każdym kierunku wypadła liczba 200.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 7-go.

Szarady: Ja — to — wiec.

Łamigłówki sylabowej:

1. Jaśmin. 2. Ów. 3. Zebra. 4. Indyk. 5. Aster.

Józia.

Skrzynka do listów.

Owszem, **Miernoto** kochana, miłą nam jest nazwa, którą nam dajesz, i nieraz to powtarzaliśmy, że uważamy ją za najmilszą nagrodę naszej pracy. Do tego głównie dążymy, aby Pismo nasze było „rodziunem” w całym znaczeniu wyrazu. Całym sercem zapraszamy staruszkę o należenie do konkursu; przysłane nam próbki przejrzymy wolnym czasem. Gołąbka odbiera listy za pośrednictwem Redakcyi, tam więc adresuwać je trzeba.

Stasi Radl. wysłaliśmy pod wskazanym adresem **Wieczory**, tudzież żądany początek powieści; milej naszej czytelniczce załączamy serdeczne pozdrowienie.

Ułanka z nad Kaniny otrzymała także początek „**Mulej Ks...**”, nie wiemy jednak czy sobie życzy, abyśmy jej posłali całe półrocze naszego pisma, bo tyle posłać by trzeba, aby dostarczyć całej pierwszej części „**Atlanty**”. Bardzo nas zajęły szczegóły o młodszym rodzeństwie, jako też i te, które się tyczą Ułanki; prosimy zawsze o obszernie i szczegółowe listy.

Jaśko Warszawiak przysłał nam do oceny rzecz, która byłaby niezłą, gdyby pomysł nie przypominał nam czegoś zupełnie podobnego, co drukowaliśmy niedawno. Mimowoli czasem zdarzy się piszącym taka nieledwie tożsamość pomysłu, ale rzeczą jest Redakcyi unikać drukowania podobnych do siebie utworów, aby nie ściągnąć na siebie zarzutu powtarzania się.

Otrzymałmśmy od **Fiołka parmeńskiego** i **Konwalii ogrodowej** szaradę i logogryf. Szarada ułożona dobrze, trochę tylko za łatwe określenie całości; od razu domyśleć się można. Zato łamigłówka z powodu samej długości swojej jest prawdziwą łamigłówką.

Zadanie konikowe przysłane przez **Koch-hal** przejrzymy. Opowiadanie o wyspie **Moloku** jest streszczeniem opowiadania cudzoziemca.

Bardzo jesteśmy radzi z poznania **Małej Myszk** z **L.** i prosimy, aby pisywała do nas jak najczęściej. Kształtne literki pozwalają nam przypuszczać, że Myszka nie będzie ostatnią na konkursie kaligrafii.

Biały Gwoździ także obiecuje należeć do konkursu; doniesiemy mu w swojej porze o powodzeniu egzaminów **Papierosika**, tymczasem przesyłamy miłemu kwiatkowi uścisk serdeczny.

Przeziórkę, oraz **Poziomkę z gajku**, serdecznie zapraszamy do grona korespondentów; liściki takich małych osóbek sprawiają nam zwykle bardzo żywą przyjemność.

Nowa prenumeratorka, **Jaskółka z nad Płycza** zadaje nam tyczące się konkursu pytanie, na które odpowiadamy tem chętniej, że kilka już świeżo przybyłych czytelniczek zgłaszało się z podobnem. Odpowiedź ma być przede wszystkim *odpowiedzią na zadane pytanie*, to jest opowiadaniem o sobie, co wyklucza formę powiastki. Długość może być dowolną; zależy to od osoby piszącej oraz od tego, o czem nam pisze. Nagród bywa zwykle tyle ile wypracowań na nie zasłuży.

Łamigłówki **Bystrego konia** przejrzymy wolnym czasem, tudzież te, które nadesłał nam: **Myśliwy**.

Pani Gr. przesyłamy serdeczne pozdrowienie za miłe dla nas wyrazy uznania; nieporozumienie zostało jej listem wyjaśnione.